

Fragment utworu w przekładzie

Eckhart Nickel
Punk

Piper Verlag, München 2024
ISBN 978-3-492-07282-3

Str. 33-46

Eckhart Nickel
Punk

Przekład: Agata Teperek



Lambert uroczyście otwiera drzwi, ruchem ręki zaprasza nas do środka i wreszcie mogę rzucić okiem na resztę mieszkania: korytarz ze ścianą wyłożoną kwadratowymi koszulkami z plastiku, do których powkładano okładki płyt, prowadzący do skąpanej w świetle kuchni na drugim końcu.

Lambert pośpiesznie zamyka za nami drzwi i rysuje w powietrzu kwadrat.

– To niestety jedyna forma dekoracji, na jaką sobie pozwalamy. Ale ciiii! Na ogół, rzecz jasna, nie pokazujemy nikomu tego rodzaju zakazanych towarów. Zresztą istnieje tylko jeden zespół, który naszym zdaniem jest na tyle genialny, by warto było dla niego nadstawić karku: The Smiths!

Na myśl przychodzi mi od razu scena z ulubionego filmu. Dziewczyna stoi w windzie, obok niej chłopak w kardiganie i pod krawatem, koleś ma słuchawki na uszach i na nic nie zwraca uwagi, tak jest pochłonięty kawałkiem „*There is a light that never goes out*”. Kiedy dziewczyna go o niego zagaduje, w pierwszej chwili nawet nie zauważa, że pyta go o muzykę. Kiwa tylko głową bez zdejmowania słuchawek. Ponieważ ona mówi dalej, wreszcie je ściąga. Swoje wyznanie, że kocha ten zespół, dziewczyna kończy zaintonowaniem piosenki i słodkim komplementem, jaki to on ma dobry gust do muzyki. Następnie wychodzi z windy, pozostawiając zdumionego chłopaka, który nie może pojąć, co takiego się właśnie wydarzyło.

To początek pewnej dość tragicznej historii miłosnej, tak porywającej, że od razu testuję, czy ci dwaj kojarzą film, i cytuję:

– *I said I love the Smiths. You have good taste in music.*

Chociaż liczę się z tym, że w każdej chwili może dojść do interwencji *Białego Hałasu*, ciągnę śpiewnym tonem, nawet w połowie nie tak czarująco jak tamta aktorka:

– *To die by your side, it's such a heavenly way to die. Love em.*

– *Holy shit!* – odpowiadają obaj bracia chórem.

Teraz już w zasadzie nic nie może pójść nie tak.

Ezra zaczyna się śmiać.

– Nie mówisz poważnie, co? Jesteś pierwszą osobą, która wie, co począć z naszą małą obsesją na ścianie.

Lambert niemal wchodzi mu w słowo.

– Popatrz tutaj, bardzo rzadki maksisingiel: *William, it was really nothing* wyjątkowo z Morrisseyem we własnej osobie i z nieziemską szklanką mleka w ręce.

Wskazuje niebieskawo białą okładkę pośrodku. Ponieważ we wszystkich koszulkach widać jaskrawo zabarwione fotografie, to kiedy stoję przy ścianie, na myśl od razu nasuwa mi się gigantyczne memory. Albo jakiś rodzaj instalacji artystycznej w galerii, w głowie kołaczę mi termin „ekspozycja zmienna” ze względu na praktyczne plastikowe koszulki.

– Cały czas tu tak wiszą, czy czasem je wymieniacie?

Ezra wzdycha.

– Wsadzasz palec w broczącą ranę. Ja bym je najchętniej tak zostawił, bo podobnie jak w przypadku każdego innego fenomenu estetycznego istnieje oczywiście idealna kombinacja, ale Lambert traktuje je niczym talię kart tarota, którą co poniedziałek trzeba przetasować na nowo. Tym sposobem nadają tonację temu, co czeka nas przez kolejne siedem dni. *Knight of Cups? Cheers!*

Lambert od razu protestuje:

– Drogi Ezro, skąd ty to w ogóle wytrzasnąłeś? Z jednego z tych swoich dziwacznych magazynów o sztuce? Muszę zaprotestować i to kategorycznie. Wszystko, co jest spójne w poszczególnych kawałkach, dopuszcza „oczywiście”, jak twierdzisz, niemal nieskończenie wiele estetycznie perfekcyjnych wariacji. Dla mnie geometria czystego przypadku jest równie doskonała, co pałace-miniaturki z kryształów najpiękniejszych płatków śniegu.

Ezra wyciąga płytę znajdującą się dokładnie pośrodku, na której Truman Capote skacze z wyciągniętymi do góry rękami, i zamienia ją miejscami z tą poniżej, przedstawiającą śpiącego na piasku mężczyznę, którego twarz odbija się w wodzie.

– A teraz? Dalej wszystko jest tak elegancko skomponowane i wyważone jak wcześniej? Moim zdaniem absolutnie nie. Capote, tak jak w prawdziwym życiu musi stale znajdować się w centrum, inaczej od razu traci swawolny, dobry nastrój. Tu na dole nie tylko wyskakuje ze zdjęcia, lecz także ze ściany i zapewne, jeśli choć na chwilę odwrócimy wzrok, zaraz pójdzie na kolejną imprezę, a my będziemy mieli w domu jednego gościa honorowego mniej.

Próbuję sobie wyobrazić najnormalniejszą rozmowę, jaka może odbywać się tu rano w kuchni i po raz pierwszy naprawdę zaczynam mieć wątpliwości, czy w ogóle chcę się wprowadzić. Bo ktoś miałby ochotę znaleźć się o świcie, jeszcze przed pierwszą kawą, w romantycznej powieści

dialogowej, która wymaga – jeśli ktoś naprawdę nie chce się pogubić – najwyższego stopnia błyskotliwości i quizowej wiedzy z zakresu kultury. Osobliwa rozmowa tych dwóch sprawia, że tracę pewność, bo nie mogę wyzbyć się wrażenia, że to wszystko jest częścią zapowiedzianego przez Annę quizu. Niestety nie jestem w stanie przejrzeć go na wylot. A to z kolei doprowadza mnie do szału, bo ani nie mogę, ani nie chcę zaakceptować faktu, że wyjątkowo się nie orientuję. Żeby uratować sytuację i znów znaleźć się w korzystnym położeniu, wpada mi do głowy pomysł, że mądrze byłoby odwrócić ostrze i samej zacząć zadawać pytania.

– Zastanawialiście się może kiedyś nad tym, czy poczucie humoru można mieć wyłącznie dla siebie, bez konieczności dzielenia się nim z innymi?

Starannie przekładając maxisingle w powrotem na pierwotne miejsca, Ezra mamrocze coś nieobecnie do siebie:

– Proszę, Monsieur Charming Man, teraz znów może pan majestatycznie tkwić na tej ścianie poza siłą naszej wyobraźni, żeby kontemplować we śnie swoje lustrzane odbicie.

Potem nieco głośniej zwraca się do mnie:

– Zdjęcia nadają się równie dobrze jako wyjaśnienie zjawiska, nad którym człowiek się zastanawia lub o którym dyskutuje. Że tak powiem, można je po prostu wypytać we wszelkich możliwych sytuacjach. Weźmy choćby Jeana Maraisa i jego konterfekt w przybrzeżnej wodzie. Powiedziałbym, że jego własne towarzystwo mu wystarcza. I potrafi się dobrze bawić sam ze sobą. Kto wie, może ludzie nieumiejący śmiać się z siebie albo w samotności, w ogóle nigdy nie są śmieszni ani zabawni, a więc nie mają w ogóle jakiegokolwiek talentu do komizmu.

Lambert zaprasza nas gestem do pokoju na końcu korytarza:

– W drodze wyjątku nie mam nawet nic do dodania, drogi Ezro, masz całkowitą rację. Chociaż, jak napisał Franz Kafka na końcu wyśmienitego opowiadania: *I odwrócił się z dużym impetem jak ludzie, którzy chcą być sami ze swoim śmiechem*¹. Albo jakoś tak. Proszę, tutaj, oto wspomniany pokój w całej okazałości!

Kiedy właśnie się zastanawiam, czy jeszcze w ogóle mogę odzyskać przewagę, dzieje się coś nieoczekiwanego. Znajomy głos krzyczy słowo, które wcześniej nie przyszło mi w ogóle do głowy, i robi to więcej niż raz. Przy czym nie krzyczy tylko tego słowa, a całe zdanie. To słowo jest jednak głośniejsze od pozostałych. Wrzaski docierają z ulicy przez uchylone okno:

– Co za OBŁĘD, co za OBŁĘD.

Potem słyszę jeszcze kilka banałów, które brzmią mniej więcej tak *co, ty też tutaj?* Nie mam bladego pojęcia, co ma na myśli Anna. Wykrzykuje przecież właśnie *moje* wezwanie o

¹ Franz Kafka: „Daj spokój!”, tłum. Roman Karst, [w:] tenże: *Opowieści i przypowieści*, Warszawa 2016, s.578.

pomoc, czy więc teraz to ja mam pośpieszyć *jej* z pomocą? Zachowuję się tak, jakbym była po prostu zaciekawiona i przechodzę po skosie przez pokój, który – jak od razu rzuca mi się w oczy – naprawdę jest wyjątkowo jasny i bardzo przestronny.

– Co to za hałas na dole? Przydałaby się chyba podwójna szyba, jeśli mam się uczyć w spokoju. Ha, ha, ha, jak wy to wytrzymujecie? A może się mylę?

W wysokim oknie skrzydłowym bracia przymocowali coś jakby cienką zasłonę z papieru, która przy przesuwaniu szeleści jak surowy jedwab. Żeby możliwie jak najmniej zwracać uwagę na to, że mój wzrok wędruje na dół, ciągnę:

– Ale jak człowiek szuka mieszkania, to bardzo szybko się uczy: zawsze jest *coś za coś*: ładne albo praktyczne, dobre albo tanie, świetna lokalizacja albo superokazja.

Lambert nad wyraz głośno chrząka, jakbym przeszarżowała, ale jest mi to obojętne, bo całą moją energię pochłania próba dojrzenia, co dzieje się na dole. Choć od razu próbuję zachować pozory (przynajmniej na zewnątrz), ogarnia mnie trudne do zniesienia poczucie, jakby za moment z mojej twarzy miały zniknąć wszystkie kolory. O. Mój. Boże. Kirsten. Że też akurat moja siostra musi stać tam z Anną. A zważywszy na to, jak się wystroiła, wybiera się najpewniej na randkę albo – czego się obawiam – zaraz po mnie jest umówiona na górze z braćmi. Co, jak szybko się orientuję, oznacza w zasadzie jedno i to samo.

Bez chwili zastanowienia zamykam energicznie okno i spostrzegam, że się czerwienię, bo to znów impertynencja z mojej strony. Rumienię się jednak także dlatego, że już – jak to się mówi – odbiło mi na punkcie Lamberta i Ezry. I to pomimo tego, że z początku uważałam ich za kompletnych świrów, bo zdawali się dziecinni i zarazem osobliwi. A może to właśnie to tak mi się w nich podoba?

Ledwie Kirsten znika, a już rozlega się dzwonek do drzwi. Aż podskakuję, bo, rzecz jasna, nie jest to normalne dzwonięcie, tylko, niech to szlag, melodia. Znów – jak wcześniej w przypadku *The Smiths* – przemyka mi przez głowę pytanie, gdzie podziewa się *Biały Hałas*. Czy roztacza się tutaj swego rodzaju autonomiczna strefa odporna na wszelkie zło potężnego hałasu? Potem przypomina mi się szafa i teraz ja też rozpoznaję, jaka piosenka kryje się pod pięcioma nutami: *Strawberry Fields Forever!* Każdy przybywający tu gość zostaje oficjalnie powitany słowami: *Let me take you down*. Jest to oczywiście – i trzeba oddać to braciom – wyjątkowo zabawne i wymowne szczególnie w kontekście tego castingu. Nie tylko – w tym momencie jest to już dla mnie praktycznie pewne – porządnie cię przemaglujemy i solidnie zmyjemy ci głowę. Nie, potem jeszcze dzielnie odprowadzimy cię na dół po schodach, tak, byśmy mieli stuprocentową pewność, że raz na zawsze znikniesz z naszego życia. A co

najlepsze: sam zainteresowany nie słyszy melodii, która wieści tę jego jakże mało radosną przyszłość. Ta sekwencja tonów przeznaczona jest wyłącznie dla uszu sprawców podłości, którzy nastrajają się na to, co wieści ich muzyczny okrzyk bojowy. Ot, nieszablonowe i wręcz genialne.

Anno, powiedz mi proszę, że nie będę musiała stąd wychodzić. Jasne, biorę ten pokój. W zasadzie jednak nie jestem już taka pewna, czy jest on w ogóle do wynajęcia. Koniec końców cała ta sprawa to tylko, jak mówiła kiedyś moja mądra nauczycielka francuskiego – *acte gratuit*. Czyli zasadniczo bezcelowe i wielce zabawne wydarzenie, którego jedyny sens tkwi w tym, żeby było rozrywką samo w sobie. Całkowite przeciwieństwo obmyślonej na poważnie sztuki, ale będące nią dzięki aktorskiemu charakterowi. Jak wypowiedzenie wojny wszechobecnej nudzie, ulotne i zarazem wielce zabawne. A co najlepsze: właśnie wystąpiłam w tym show gościnnie.

– Ach, niech to, ktoś przyszedł zdecydowanie za wcześnie, ni mniej ni więcej plus pięć minut!

Lambert otwiera złoty zegarek kieszonkowy przymocowany łańcuszkiem do bocznej kieszeni kamizelki i krytycznym wzrokiem przygląda się starodawnej tarczy.

– Dla mnie jest to w zasadzie dobry powód, żeby go spławić, co ty na to, Ezra?

Erza spogląda na mnie pytająco:

– Tutaj jeszcze nie skończyliśmy. Czy podoba ci się w ogóle ten pokój, Karen?

Wypuszczam z dłoni papierową zasłonę wyraźnie znudzona, z obojętnym spojrzeniem, chociaż czuję, jak ogarnia mnie absolutna panika. Ezra z pewnością ją dostrzega i przygląda mi się z zaciekawioną, po raz pierwszy lustruje mnie wzrokiem od stóp do głowy. Nie jestem w stanie tego znieść nawet u dobrych przyjaciół i popadam w ogromną nerwowość, zawsze bowiem zakładam, że mam na ubraniu plamę, którą przeoczyłam. Albo może coś na twarzy, na co rozmówca zdecydował się nie zwracać mi uwagi ze względu na błędnie rozumiane poczucie taktu i brak prawdziwego współczucia. W takich sytuacjach nie mogę się nigdy zdecydować, co jest gorsze: zażenowanie z powodu własnego niechlujstwa, przez które nie zauważyłam plamy na ubraniu, czy poczucie wstydu, że niczego nieświadoma afiszuję się z monstrualną wtopą na głowie.

– Wszystko w porządku, Karen? Zrobiłaś się taka blada, jakbyś zobaczyła ducha.

Próbuję przywołać na usta przepraszający uśmiech.

– Ach nic mi nie jest, tylko wczoraj położyłam się trochę za późno, a wtedy zawsze po południu mam kryzys. Zaraz mi przejdzie. Ale miałabym prośbę: wiem, że może wydać się to

dziwne, ale na bank wyjaśnię to później. Czy są tu może jakieś drugie drzwi, którymi mogłabym wyjść?

Kirsten pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, że obie interesujemy się tym pokojem. Intuicyjnie wyczuwana szansa, żeby naprawdę go dostać, znika z każdym błędnym posunięciem w tej minidramie pełnej nieprzystających do normy zachowań. Jeśli Kirsten się połapie, że to ja z nią konkuruję, to w kilka minut odstawi tu imponujące show, że od razu będę mogła się wynieść do akademika.

Na twarzy Ezry maluje się szeroki uśmiech.

– O drugim wyjściu nie pomyśleliśmy nawet my sami, co, Lambert? Podsuwasz nam w zasadzie wyśmienitą koncepcję. Nawet tu, w naszej ukochanej twierdzy, raz za razem dochodzi do sytuacji, z których człowiek z chęcią ulotniłby się dyskretnie i niepostrzeżenie. Przede wszystkim wtedy, gdy niechciani goście, którzy oczywiście w przeważającej mierze nie zostali nawet zaproszeni, tylko trafili tu przyprowadzeni przez naszych wkrótce już byłych przyjaciół, za nic w świecie nie chcą zauważyć, że dawno nadużyli naszej gościnności. Takie jednostki lubią ignorować wszelkie, nawet mniej wysublimowane gesty mające skłonić ich do wyjścia, jak choćby demonstracyjne ziewanie czy ostentacyjne zerkanie na zegarek. Pewien szczególnie zawzięty egzemplarz dopuścił się szczytu bezczelności: serio, nalał sobie wina do brudnego kieliszka, który wcześniej własnoręcznie włożyłem do zlewu, z butelki przestawionej już ze stołu na regał, i to do pełna! W dodatku po tym jak wcześniej specjalnie wróciłem z sypialni do kuchni ubrany w piżamę, a tym samym niejako gotowy do snu!

Lambert parska głośnym śmiechem i macha do mnie ręką, żebym wyszła na korytarz.

– Wprawdzie nie zbudowaliśmy wyjścia awaryjnego, którym można opuścić to stulecie uprzejmości, bodajże osiemnasty wiek, prawda?, ale za to mamy tu przyjemniejsze rozwiązanie, *inhouse*, że tak to ujmę. I jest to naprawdę duży dowód naszego zaufania.

Uchyła koszulkę The Sminths-Memory-tarota i naciska coś, co wygląda jak drzwiczki do usuwania sadzy z komina. Przeciwna ściana rusza się jak drzwi obrotowe prowadzące do pomieszczenia w głębi, gdzie zapala się światło.

– Skoro rzucasz nam takie niespodziewane wyzwania, to pomyślałem sobie, że chyba równie dobrze możemy, mówiąc niemal dosłownie, uchylić ci rąbka tajemnicy. Voilà, oto nasze małe, ale jakże jare LABORATORIUM STEREO. Więcej opowiemy ci później, gdy kolejna kandydatka już sobie pójdzie. Co, jeśli zważyć na mój research i jej zdecydowanie zbyt wczesne przybycie, nie powinno potrwać zbyt długo. A przy okazji dla ludzi nadto ciekawskich i proszę, nie bierz mi tego za złe, bo dotyczy to także Ezry i mnie, dlatego to w ogóle tu jest, możesz

śledzić przez analogicznego judasza przebieg kolejnej rozmowy. Ale tylko jeśli będzie ci się nudzić, czego ani trochę się nie obawiam. Judasz jest dokładnie pośrodku prawej ściany, pokój jest poza tym klimatyzowany i absolutnie dźwiękoszczelny. To tak na wypadek, gdybyś miała dostać ataku śmiechu.

Wchodzę do dziwnego połączenia jaskini stalaktytowej i wytłoczek do jajek, podłoga jest przeszkłona, a pod nią znajdują się czubki wystające równomiernie ze wszystkich ścian niczym małe piramidy. Makabryczna komnata tortur dla klaustrofobików, przelatuje mi przez głowę. Z myślą o takich poddawanych próbie strachu kandydatkach jak ja dla uspokojenia na środku pomieszczenia ustawiono przeszkloną witrynę, na której znajduje się stół mikserski i starodawny odtwarzacz kaset, a obok kuszący fotel jajo. I znów dzwonek do drzwi! W myślach ofukuję Kirsten: „Czyś ty rozum postradała, spójrz tylko, która godzina! Jak przychodzi się za wcześnie, to nie przysługuje człowiekowi prawo do niecierpliwienia się, gdy nie zostanie się od razu wpuszczonym!”.

Zaraz jednak myślę: genialne, to na bank pomysł Anny, żeby Kirsten zadzwoniła drugi raz i od razu im podpadła.

Solidarity to friendship, tak Anna wyjaśniła mi już na wstępie swoją najważniejszą zasadę.

– Są przyjaciółki i przyjaciółki. Są też besties. I jesteś ty. Dokładnie w tej kolejności. Im bliżej, tym większa wierność.

Ależ miałam szczęście. Nie tylko dlatego, że mogę się ślepo zdać na nową najlepszą przyjaciółkę. Jestem niemal pewna, że poniekąd mam już ten pokój. Mniejsza o impertynencje, ataki, panikę czy drugie wyjście.

Drzwi za braćmi zamykają się ze stłumionym kliknięciem i po raz drugi w życiu jestem zamknięta w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu bez widocznego wyjścia. I faktycznie nie odczuwam ani trochę strachu. Nawet szkło na podłodze wydaje się pokryte specjalną powłoką, w każdym razie chodząc po nim, nie słyszę własnych kroków, jakbym nagle ogłuchła. Dlatego mówię, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć, i to dość cicho, by wyzbyć się wszelkich wątpliwości co do słuszności tego spostrzeżenia, *safe word: Oblęd*.

Ale nawet ono brzmi obco, jakby w chwili wypowiedzania zostało zdjęte z moich ust i połknięte przez niewidzialną istotę, która jest jednocześnie wszędzie dookoła. Słyszałam kiedyś od podróżników, jak niepokojące jest pozbawione wszelkiej wilgotności powietrze w wysokich górach, bo nie wiemy, jak dostosować oddech do tej suchości. Na tę myśl niemal automatycznie zaczynam przełykać ślinę i mam wrażenie, że w ustach zrobiła mi się pustynia. Zdaje się, że to

pomieszczenie ma obie te cechy jednocześnie: jest ekstremalnie suche i absolutnie dźwiękoszczelne. Próżnia. Z pewnością bardzo pomocne w zwalczaniu BIAŁEGO HAŁASU.

4

Natural's Not In It

Podobnie jak większość fundamentalnych zmian społecznych także *Biały Hałas* przypomina z początku raczej jęk niż huk. Do jego rozprzestrzeniania dochodzi mimochodem i dla mnie przypomina to szereg przypadkowych zdarzeń, które wcale nie muszą być ze sobą powiązane. Choćby to graffiti, które nie zostało namalowane sprejem, biała farba pojawiła się po prostu w nocy z boku starej opery, a wspomniane słowa napisano koślawym dziecięcym pismem. Wówczas na placu Operowym zawsze grałyśmy we frisbee i na pierwszy rzut oka wyglądało to dla nas jak zapowiedź występów młodzieżowego teatru muzycznego. Ponieważ w przypadku farby chodziło najwyraźniej o jakiś specjalny, trudny do usunięcia produkt, którego ślady nawet po czyszczeniu nadal wyraźnie ukazywały zarys słów, w lokalnej prasie wywiązała się humorystyczna dyskusja o muzyce poważnej i rozrywkowej. Rodzice uważali to za obłędnie komiczne, bo w centrum znajdowała się kwestia średniego czasu połowicznego rozpadu muzyki pop, której słuchałyśmy ja i Kirsten, i jej przetrwania w porównaniu z muzyką klasyczną. *Here to stay or should they go?*, zatytułował ją wyjątkowo z angielska najpoczytniejszy dziennik w okolicy, żeby nawiązać do „The Clash” i pochodzenia „White Noise”. Ha, ha, ha.

Potem uderzenie nastąpiło bliżej. Na godzinę w głównym pasmie antenowym wszystkie najpopularniejsze stacje radiowe utraciły swoją długość fal. Można było wybierać tylko między kanałami informacyjnymi i wałkowanymi wiadomościami, a tata opowiadał nam, jak jego powrót do domu w wieczornym szczycie przypominał przydługie kazanie pozbawione oprawy muzycznej. Zakłócacza nie udało się zlokalizować nawet specjalnej komisji powołanej przez Urząd Śledczy do wyjaśnienia konkretnego incydentu. Opinia publiczna była niebywale zatroskana, bo chodziło – jak ujął to minister spraw wewnętrznych – „ewidentnie o atak na krytyczną infrastrukturę kraju”. Krótko później w telewizji pojawiły się doniesienia, że naoczni – lub nauszni, jak należałoby raczej powiedzieć – świadkowie wspominają o ścianie dźwięku, „która pojawiła się znikąd”. To, co my jako nastolatki uważaliśmy za najfajniejsze na festiwalach pod gołym niebem – superefekty specjalne nazywane przez wszystkich *Wall of Sound*, dla których kapele zwoziły góry głośników – było głęboko niepokojącym zjawiskiem

w środku naszego miasta, gdzie ściana dźwięku powstała w porze obiadu. Nie chodziło nawet o muzykę, tylko o potworny, ogłuszający szum. Moim zdaniem brzmiało to tak, jakby potężna burza biczowała grzbiety otaczających miasto gór średniej wysokości, o których zawsze wspomniano w prognozie pogody, gdy robiło się wietrznie. I teraz także transmitowano w strefie ruchu pieszego odgłos szarganych przez podmuchy orkanu wierzchołków drzew za pośrednictwem niewidzialnych głośników, z rozkręconym do oporu regulatorem.

Kirsten twierdziła, że to zdarzenie ma coś wspólnego z odbywającą się jednocześnie demonstracją przeciwko wyłączeniu całego miasta z ruchu samochodowego. Przede wszystkim naśmiewała się z tego, że na demonstracji wielokrotnie puszczano między przemówieniami, w ramach przerw, stary hymn motocyklistów *Born to Be Wild* Steppenwolf, co – jak twierdziła – powinno być karalne. Kiedy później doszło do jeszcze jednego incydentu – w trakcie cieszącego się największą oglądalnością wieczornego talk-show w porze absolutnego prime time – nikt już nie mówił o przypadku.

Krótko przed nadchodzącymi wyborami prowadzący program śledczy zaprosił do telewizji przedstawicieli wszystkich partii, żeby wypowiedzieli się na temat „Edukacji na wymarcu”, i dzięki swojej legendarnej umiejętności wczuwania się jak kameleon znów udało mu się wyprowadzić gości z równowagi. Siedziałyśmy przed telewizorem jak zakłęte, kiedy między ultrakonserwatywnym kandydatem i jego oponentką z Partii Ekologicznej niemal doszło do rękoczynów. Chodziło bowiem o to, jakie wartości z naszego kręgu kulturowego powinny być jeszcze nauczane w szkole i jak przełożą się one na dorastających młodych ludzi, czyli na nas. W połowie programu po studiu telewizyjnym rozszedł się niespodziewanie dawno nie słyszany ton. Według naszych rodziców przypominał szum białocznego ziarnistego ekranu z minionego tysiąclecia, towarzyszący nocnemu zakończeniu nadawania. Sam ten szorstki odgłos dzięki wzmocnieniu, z jakim ryczał z głośników naszego mocno przestarzałego odbiornika Marantza, upodobił się do odgłosu gradu walącego o dach studia. Tak zszokowało to skorych do kłótni polityków, że ultrakonserwatysta jak sparaliżowany puścił batikową sukienkę swojej koleżanki, którą chwilę wcześniej natarczywie trzymał przed kamerą, wyklinając ten mundur z kamuflażem ekoterrorystów, który miał dyskwalifikować jego nosicielkę, pozbawiając ją prawa wypowiedzenia jakichkolwiek ocen moralnych.